Cena 18 fen. = 13 cent.



Roczniki „Światła”

są jeszcze w zapasie i nabyć można:

Rocznik I-szy w zeszytach za 1,50 mrk., oprawny 2,50 mrk., w ozdobnej opr. 4 m.
„ **III**-ci w zeszytach za 4 m., oprawny 5 mk., w ozdobnej oprawie 6,50 mk.
„ **VII**-my w zeszytach za 4 mk., oprawny 5 mk., w ozdobnej opr. 6,50 mk.
„ **VIII**-my w zeszytach za 4 mk., oprawny 5 mk., w ozdobnej opr. 6,50 mk.
„ **II, IV, V i VI już wyczerpane.**

Na przesyłkę prosimy dołączyć w odległości do 10 mil 25 fen., w dalszej odległości do broszurowanego egzemplarza 30 fen., do oprawnego zaś 50 fen.

Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika“
w Bytomiu, ulica Piekarska nr. 29.

Nakładem **Wydawnictwa „Katolika“** w **Bytomiu G.-Szl.** wyszła z druku książka pod tytułem:

Nowy Brewiarzyk Tercyarski

dla

Braci i Sióstr III zakonu św. Ojca Franciszka

z dodatkiem

różnych stósownych nabożeństw.

Nowy ten Brewiarzyk został wydany przez **ks. N. Bontzeka,** proboszcza Bytomskiego, i jest wydrukowany za pozwoleniem władzy biskupiej. Dotąd jeszcze nikt nie wydał Brewiarzyka, któryby był tak dogodny i praktyczny, jak niniejszy. Brewiarzyk mieści w sobie: Kalendarz rzymski, oficyum, podzielone na 3 części tj. na Adwent, Boże Narodzenie i po Bożem Narodzeniu (to oficyum jest drukowane w 2 łamach na każdej stronie). Dalej zawiera Brewiarzyk: Regułę III zakonu, kalendarz tercyarski, odpusty dla Tercyarzy, sposób obłóczyn, sposób profesyi, absolucyą jeneralną, sposób odmawiania pacierzy tercyarskich, modlitwy poranne i wieczorne, modlitwy do mszy św. zwyczajnej i żałobnej, modlitwy do spowiedzi i komunii św. i rozmaite inne modlitwy i litanie, oraz drogę krzyżową. Stron 480. — Druk jest wielki, wyraźny, a tytuły czerwonym drukiem wykonane. — Brewiarzyk został wydrukowany na papierze zwyczajnym i welinowym. Ceny są następujące:

Papier zwyczajny:	
oprawny w pół płót. z czerw. brzeg. i futer.	1,50
z przesyłką	1,70
w pół płótno z czerw. brzeg. i złot. tytułem i futerałem	1,75
z przesyłką	1,95
w naśladow. skórę, czerw. brzeg z złotym tytułem i krzyżem w futer.	2,25
z przesyłką	2,45
w naśladow. skórę, złot. brzeg. itp., futer. .	3,50
z przesyłką	3,70
w skórę, czerw. brzeg. z złot. tyt. i krzyżem w futer.	2,75
z przesyłką	2,95
w skórę, złot. brzeg. i t. p. w fut.	4,—
z przesyłką	4,20

Papier welinowy:	
oprawny w pół płót. z czer. brzeg i futerałem	1,80
z przesyłką	2,[illegible]0
w pół płótno z czerw. brzeg. i złot. tytułem i futerałem	2,05
z przesyłką	2,25
w naśl. skórę, czerw. brzeg. z złot. tytułem i krzyżem w futer.	2,55
z przesyłką	2,75
w naśl. skórę, złoty brzeg itp. w futer. . .	3,80
z przesyłką	4,—
w skórę, czerw. brzeg z zł. tytułem i krzyżem i futerałem	3,05
z przesyłką	3,25
w skórę, złoty brzeg i t. p. w futerale . .	4,30
z przesyłką	4,50

Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

ŚWIATŁO

Rok X. — Bytom G.-Ś., 15-go Lipca 1896. — Nr. 14.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

(Ciąg dalszy.)

Sama Edyta musiała mimowolnie podzielać to zdanie, spostrzegłszy przez okno, jak zapatrzeni w siebie postępowali w milczeniu. I ona też wlepiła z natężeniem wzrok w nadchodzących.

Nikt, spojrzawszy teraz na nią, nie byłby ją nazwał piękną, tak przykry wyraz zmienił jej nadobne rysy.

Najniebezpieczniejsze namiętności ludzkie, to jest miłość i nienawiść, w połączeniu z gorzkim bólem i dumnem urąganiem, staczały właśnie srogą walkę w jej sercu. Wyszeptała półgłosem:

— Przy całej swojej dobroci i miłości, są oni przecież obłudnikami! O! tak, oni są obłudni i fałszywi oboje. A do tego jedynie dla pieniędzy! Jak to oni strzegą i pilnują zazdrośnie tego schorzałego starca. Doskonale potrafią go zabezpieczyć, ażeby żadne wspomnienie nie przedarło się do niego... A jednakże, dodała z nową energią, a jednakże... ja będę mądrzejszą od nich i znajdę drogę, aby się tam dostać!

W ciągu tego dnia Edyta była niezwykle cicha i zamyślona, i okazywała nieledwie taką samą nieprzystępność, jaka niegdyś w czasie przeprawy tak żywo oburzała jej towarzyszów podróży na okręcie; Paula zaś była nierównie weselszą i rozmowniejszą, aniżeli w ciągu dni upłynionych.

— Wiesz co, Edyto! — odezwała się do przyjaciółki, wkrótce będziemy mieli w zamku nowego gościa, gdyż przybędzie tu na kilka dni pan Gerard Martell, dawny towarzysz szkólny naszego Franciszka. Będziesz się mogła choć cokolwiek rozerwać, biedne dziecko; jest to nietylko bardzo dobrze wychowany młodzieniec, ale i turysta jakich mało! Przebiegł on już, jeśli się nie mylę, więcej niż połowę kuli ziemskiej i umie z wielkim wdziękiem opisywać zwiedzane miejsca.

Miss Frinksly przyjęła tę wiadomość z nierównie mniejszem zajęciem niż zwykle, oczekiwała jednak zapowiedzianego gościa z niejakiem zaciekawieniem, do którego łączyła się również jeszcze inna nadzieja. Spodziewała sie ona, iż z powodu przybycia gościa otworzą się nareszcie drzwi do pana zamku, albo

też Paula i Franciszek tak dalece się sobą zajmą, że będzie mogła dostać się do chorego.

Na nieszczęście, ta rachuba omyliła ją jaknajzupełniej, gdyż wprawdzie gość nadjechał, przynosząc swą obecnością niejednę zmianę w szczupłem kółku mieszkańców zamkowych, ale nie potrafił ani wpłynąć na zwykłą gorliwość Pauli w zajmowaniu się stryjem, ani też znaleźć wstępu do jego pokoju.

Martell zarówno jak i miss Frinksly, nie zobaczył wcale starego Hohenhofena, ale zamiast się tem obrazić cieszył się serdecznie gościnnością Pauli i swego przyjaciela. Z Franciszkiem jeszcze od szkólnej ławki łączyła go szczera życzliwość, podtrzymywana następnie częstemi listami. Martell był, jak to słusznie utrzymywała Paula, dobrze wychowanym młodzieńcem i zajmującym turystą. Służył on przez czas niejaki w inżynieryi, wcześnie wziął uwolnienie i odebrawszy znaczny majątek, poświęcił się całkowicie odległym podróżom. Martell, podobnie jak wszyscy, był zachwycony pięknością Edyty, ale dziwne podobieństwo charakterów pociągało go przeważnie do Pauli, dla której nie taił swego uwielbienia.

Pewnego dnia, kiedy uparta słota nie pozwoliła towarzystwu odbyć zwykłej wycieczki w okolice zamku, postanowiono wynagrodzić sobie ten zawód zwiedzeniem wszystkich części obszernego zamku, z wyjątkiem pokoi zamieszkanych przez chorego. Edyta ze szczególną przyjemnością popierała ten projekt. Stara Małgorzata została wezwaną niezwłocznie do otwarcia dawno niezwiedzanych komnat zamku. W mgnieniu oka poodsuwano zazdrostki i przywiedziono do porządku firanki; towarzystwo zastało salony w takiej czystości i ładzie, jak gdyby te były przygotowane na przyjęcie państwa powracającego do siebie z odległej podróży. Co chwila z ust Edyty i Martella wyrywały się okrzyki podziwu i uwielbienia na widok przedmiotów, z wielkim kosztem i wybornym smakiem zgromadzonych przez pana zamku. Najdłużej jednak zatrzymało się towarzystwo w przepysznej sali jadalnej, której ściany zdobne rzeźbami z dębowego drzewa, tworzyły liczne ramy zapełnione portretami familijnymi. Było to jedyne miejsce poświęcone tego rodzaju zbiorowi, w którym jeszcze skutkiem dziwactwa starego Hohenhofena, rycerskie postacie jego przodków pousuwane na drugi plan w najciemniejsze miejsce, musiały ustąpić znakomitościom handlowym. U samego dołu wisiał portret ostatniego pana zamku, malowany w dniach jego młodości, z twarzą piękną i szlachetną, którą szpecił jednakże wybitny wyraz uporu i zaciętości, i obraz pierwszej jego żony z miłą lecz niezmiernie smutną twarzą.

Franciszek wytłómaczył przyjacielowi ten smutek śmiercią czworga prześlicznych dziatek, których anielskie główki, ujęte w bogate ramy, wisiały obok rodzicielskich portretów.

— A twojej matki tu niema, Franku? — zapytał wzruszony Martell.

— Był tu i jej portret, ale ojciec Hohenhofen który ją niezmiernie kochał, nie chcąc się z nim rozłączyć, kazał go przenieść do swego pokoju.

Jeszcze nie zdołał dokończyć tych wyrazów, kiedy miss Frinksly, wodząca dotąd badawczym wzrokiem po ścianach, zapytała niespodzianie:

— A to kto taki?

To mówiąc wskazała na portret, któregoby bez tej uwagi nikt tak prędko nie spostrzegł, tak daleko wisiał w niekorzystnem świetle i był zasłonięty do połowy wystającą framugą okna. Przedstawiał on młodziuchną panienkę, zaledwie wyszłą z dziecięcego wieku, w której pięknej twarzy malował się ten sam wyraz uporu, nieco tylko złagodzony młodością, co i u starego Hohenhofena, do którego była uderzająco podobną.

Martell spojrzawszy na portret, stanął jak wryty, i ze szczególnem zdziwieniem także zapytał:

— Któżto jest, Franciszku?

— To Marya, najmłodsza z dzieci ojca Hohenhofena; — odpowiedział spokojnie. Potem pochyliwszy się ku Pauli, zapytał zcicha:

— Któż znowu powiesił ten portret?

— Stara Małgorzata, nie mogłam jej tego zabronić; — odpowiedziała równie cicho.

Pomimo to Edyta zrozumiała każde słowo, Martell zaś nic nie dosłyszał. Zatopiony myślą w obrazie, zawołał:

— A to dopiero przywidzenie! Poczem cofnąwszy się nieco, dodał tonem głębokiego współczucia:

— Co za nieszczęśliwy człowiek! A więc to cudne dziecię śmierć mu wydarła? A to cios straszliwy. Przypominam sobie, że kiedyś już coś o tem słyszałem. Czy to czasem nie ta sama młoda panienka, która utonęła w czasie morskiej przeprawy?

Pytanie to było zwrócone do Pauli. Żywy rumieniec wystąpił na twarz dziewicy, była ona nazbyt uczciwą do wyrzeczenia kłamstwa.

— Nie, — odpowiedziała, — Marya Hohenhofen nie utonęła. Jestto tylko przypuszczenie, które się upowszechniło w tych stronach. Nie śmierć to, lecz małżeństwo zawarte wbrew woli rodzicielskiej rozłączyło na zawsze moję kuzynkę z jej ojcem.

Szczerość ta zamknęła usta Martellowi, który żałował, iż mimowoli wzbudził niemiłe wspomnienie. Chcąc błąd naprawić, odezwał się znowu:

— Trudno uwierzyć jak dziwne podobieństwa istnieją niekiedy pomiędzy ludźmi. Spojrzawszy poraz pierwszy na ten obraz, zdawało mi się, że widzę przed sobą uśmiechniętą twarzyczkę młodej panienki z Rio-Janeiro. Będzie temu może dwa lata, kiedy podróżując z jednym z moich przyjaciół w południowej Ameryce, zbłąkałem się w gęstym lesie, niedaleko brzegów Uruguaju. Położenie nasze z każdą chwilą stawało się trudniejszem, nagle usłyszeliśmy głos skrzypców. Jadąc za tym dźwiękiem, który dla nas był pieśnią anioła stróża, napotkaliśmy wkrótce niezwykle przystojnego mężczyznę; ten nietylko wyprowadził nas z kłopotu, ale posiliwszy na drogę, towarzyszył nam aż do kolonii Św. Marty, gdzie wsiadł na okręt odpływający do Rio-Janeiro. Człowiek ten, jak się później dowiedziałem, nazywał się dom Perez de Silvo i był znakomitym skrzypkiem, znanym nawet i w naszej starej Europie. Wziąłem adres, według którego starałem się znaleźć jego mieszkanie w Rio-Janeiro. Wówczas to w przecudnym ogrodzie, otaczającym dom artysty, spostrzegłem młodą panienkę, o której właśnie wspomniałem. Nigdy nie zapomnę wrażenia na widok prześlicznej postaci, spoczywającej pod dachem splecionym z gałązek pomarańczowych, przez które słońce złociło jej włosy. Spostrzegłszy mię, zerwała się z miejsca i z pewnem zakłopotaniem zapytała czego żądam. Po chwili dowiedziawszy się o celu moich odwiedzin, kazała starej mulatce otworzyć drzwi od sieni i zaprowadzić mnie do swego ojca, z którym przywitałem się serdecznie. W godzinę później odprowadzał mię przez ogród... czarodziejskie widziadło z pod drzew pomerańczowych już zniknęło. Od tego czasu nie widziałem artysty więcej; w miesiąc niespełna oświadczono mi, że dom Perez de Silvo wyjechał w podróż artystyczną wraz z córką. Na tem się skończyła moja przygoda.

— I czy nigdy już nie słyszałeś pan o Perezie de Silvo i jego córce?

Paula przy tem zapytaniu była bardzo wzruszoną, a i na twarzy Franciszka zjawiło się wielkie zajęcie; umiał on jednak zapanować nad sobą. Potem, jak gdyby przypadkowo, pochwycił rękę siedzącej obok siebie Pauli i zatrzymał ją w swojej. Paula nie cofnęła ręki i tylko dawszy mu znak porozumiewający oczyma, wstrzymała się z zapytaniem, dopóki Martell nie skończył opowiadać swej przygody.

— Nie, pani! — odrzekł tenże, widocznie wzruszony; — nigdy już nie słyszałem o nich, z wyjątkiem wiadomości wyczytanej w pół roku w jakimś dzienniku, rozwodzącym się z pochwałami nad koncertem, który dawał w Meksyku sławny skrzypek Perez de Silvo. Od owego czasu inne zdarzenia zatarły w mojej pamięci tę przypadkową znajomość, jakto się zwykle dzieje wśród

bezustannych podróży, gdzie wrażenia zmieniają się szybko, nie pozostawiając śladu po sobie, dopóki ich nie wskrzesi znowu wspomnienie.

Rozmowa wprowadzona znowu na tor zwyczajny, ciągnęła się z wielkiem ożywieniem, aż do chwili opuszczenia sali jadalnej. Tylko Edyta nie poszła za innymi, stanąwszy jak wryta przed portretem Maryi Hohenhofen. Zdawało się, iż badała każdy rys twarzy, ażeby go lepiej zachować w pamięci.

Nikt nie zauważył, iż pozostała; oddalające się osoby nazbyt były zajęte swojemi myślami.

Był jednak pomiędzy niemi człowiek, który odrazu spostrzegł nieobecność Edyty; ten pod pozorem przyniesienia pozostawionej przez Paulę chustki, powrócił do sali jadalnej. Odgłos dobrze znanego chodu wyrwał z zamyślenia naszę amerykankę. Obejrzała się spiesznie i spostrzegła obok siebie Franciszka.

— Piękna i zajmująca dziewica, którą przedstawia ten portret, zdaje się budzić w tobie głębokie współczucie miss Edyto? — zapytał.

— O! nie inaczej, a nadewszystko jej smutna historya. Słyszałam ją niedawno; wprawdzie tylko taką, jaką pozostała w ustach ludu. Ale w każdym razie proszę mi wytłómaczyć panie Ostitz, jak to być może, ażeby ojciec rodzony zdobył się na podobne okrucieństwo względem córki. Pozbawił on ją nietylko przynależnego mienia, ale i błogosławieństwa za to tylko, że w jej sercu miłość znaczyła więcej niż bogactwo. O! jakiż to musi być człowiek dziki, okrutny, pełen uporu i pychy, który w ten sposób odepchnął od siebie jedyne dziecko.

— Nie złorzecz miss Frinksly człowiekowi, który się ujrzał zawiedzionym tam, gdzie położył nieograniczone zaufanie. W każdym razie nie pochwalam bynajmniej surowości mojego ojczyma, ani jego całego zachowania się względem córki. Ta miluchna, urocza istota, co z takim wdziękiem spoglądała na nas z tych ram złocistych, nie miała



PAN UTONĄŁ. (Obacz objaśnienia rycin na str. 224).

także litości nad swoim ojcem! Czyliż nie zapomniała o wszelkich obowiązkach względem niego? Czy nie znieważyła własnego słowa, które dobrowolnie dała jednemu z najzacniejszych ludzi? Czyż pomyślała, że nie należało jej poddawać się nowemu uczuciu i raczej ponieść ofiarę dla obowiązku, niż zawiódłszy wszystkich uciekać potajemnie z obcym przybłędą!

— A więc w oczach pańskich utalentowany artysta, dla którego cały świat jest ojczyzną, to tylko przybłęda? Jabym sądziła, że wobec społeczeństwa ma on cokolwiek większą wartość od jakiegoś kupca lub fabrykanta, którego jedyną zasługę stanowi majątek! — zawołała z goryczą Edyta.

Franciszek uczuł się zakłopotanym. Przypomniał sobie, iż mówił do osoby, która podobnież jak Perez de Silvo przybywała z za morza dla zarobku; odrzekł więc spiesznie:

— Nie, miss Edyto! proszę sobie nie tłómaczyć fałszywie moich słów. Być może, iż użyłem zbyt szorstkiego wyrażenia, chociaż człowiek namawiający niedoświadczoną panienkę do podobnego kroku zasługuje na nierównie gorsze nazwisko. Ale dajmy już temu pokój, a wróćmy do Maryi Hohenhofen. Nie biorę ja jej tego bynajmniej za złe, że pokochała człowieka bez majątku, ale dlaczegóż nie było postąpić otwarcie? Czemuż oszukiwała swego narzeczonego, zamiast prosić go o zwrócenie danego słowa? Dlaczegóż zamiast starać się pokorą zwyciężyć ojca, nadużyła jego dobrej wiary kłamstwem i podstępną ucieczką? Ona to właśnie postępowaniem niegodnem zatruła mu nazawsze życie i uczyniła go tem, czem jest dzisiaj. Wprawdzie i ja nie pochwalam jego postępowania, ale nie mogę również podzielać oburzenia pani, bo w mojem przekonaniu kłamstwo i podstęp najmniej zasługują na przebaczenie!

Franciszek przemawiał żywiej niż zwykle, przeląkł się jednak niemal wrażenia, jakie słowa jego wywołały w całej istocie Edyty. Twarz jej była trupio blada, a cała postać zdawała się łamać pod naciskiem boleści, z takiem osłabieniem opierała się na wysokiej poręczy krzesła.

— Wyjdźmyż ztąd nareszcie miss Frinksly i pozostawmy w spokojności Maryą Hohenhofen, razem z jej smutną historyą. Byłbym z pewnością ostatnim do podpisania na nią wyroku potępienia, ale przykroby mi było, gdyby ten biedny, opuszczony starzec musiał ponosić cały ciężar podwójnej winy!

To mówiąc podał rękę Edycie, która przyjąwszy takową, w milczeniu podążyła za innymi. Ale w jej duszy długo bardzo jeszcze rozlegały się posępnem echem wyrazy:

»Bo w mojem przekonaniu kłamstwo i podstęp najmniej zasługują na przebaczenie!«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O SCHIZMIE BUŁGARSKIEJ.

Bułgarya, ten kraj słowiański, który dzisiaj tak nieoględnie wyciąga ramiona ku Rosyi, istniała już w czasie, kiedy dzieje Polski otoczone były grubą zasłoną legend, i była królestwem katolickiem. Nie była to dzisiejsza mała Bułgarya, ale kraj, który rozciągał się nieoledwie przez cały dzisiajszy półwysep bałkański. W roku 870 zerwała Bułgarya związek katolicki z Rzymem a przyłączyła się do schizmy, to jest od tej chwili w patryarsze Konstantynopolitańskim upatrywała swego najwyższego zwierzchnika kościelnego.

W krótkim jednak czasie poznali królowie bułgarscy, że zależność kościelna od patryarchy w Konstantynopolu, gdzie naówczas była stolica cesarstwa wschodniego, które również zerwało łączność z Rzymem, szkodzi im pod

względem narodowym. Schizma do dziś dnia bowiem jest religią ściśle narodową, to znaczy, że Rosyanin, który ją wyznaje stara się o to, ażeby obce narody nietylko tę religią wyznawały, ale powoli zatracały samowiedzę swego poczucia narodowego i zlały się z Rosyą w jeden naród. Religia ma jej dopomódz do tego. Pragnie tego samego, co Niemcy od naś Polaków, to jest, że usuwając język polski ze wszystkich czynników życia spółecznego, pragną naszą narodowość utopić w morzu germanizacyi. Na tych podstępach poznali się już królowie bułgarscy przed tysiącem lat. W roku 893, a więc w 23 lata po odpadnięciu Bułgaryi od Kościoła katolickiego, przyszedł do władzy wielki król Symeon, który postanowił zerwać z schizmą i pojednać się z Kościołem katolickim. Poprosił zatem Papieża, ażeby Arcybiskupa w Przecławiu zamianował Patryarchą bułgarskim. Papież na to przystał i Bułgarya wyzwolona z pod wpływu cesarzy greckich pojednała się znowu z Rzymem i stanęła na własnych nogach. Nie trwało to jednak długo. W roku 927 poprosił syn Symeona, Piotr, cesarza greckiego, o wnuczkę tegoż za żonę. Cesarz uczynił naturalnie z największą ochotą zadość temu życzeniu i Bułgarya znowu zerwała z Rzymem, gdy cesarz grecki zapewnił Piotra, że pozwoli mieć Bułgaryi własnego patryarchę, który od patryarchy Konstantynopolitańskiego zależeć nie potrzebuje. Uciechę wielką już miał w tem, że Bułgarya stósunki z Rzymem zerwała, bo w ten sposób nie mogła liczyć na pomoc państw katolickich w razie ucisku. Cesarzom greckim chodziło zaś o to, ażeby Bułgaryą zagarnąć powoli dla siebie.

Stało się też powoli według ich życzenia. Cesarz Jan zdobył w r. 971 Bułgaryą dla siebie i nic nie miał naturalnie pilniejszego nad natychmiastowe zniesienie patryarchatu bułgarskiego i podporządkowanie jego władzy pod patryarchę greckiego w Konstantynopolu. Jan rozumował bowiem tak: Koronę cesarską i tytuł zawdzięczają carowie bułgarscy papieżowi. Gdyby więc wybili się kiedyś znowu na wolność, natenczas, mając Kościół swój własny, łatwo mogliby przez wdzięczność skierować wzrok ku Rzymowi. Pozwoliliby się osiadać zakonom i duchownym katolickim, którzyby łatwo wyrugowali schizmę. Bułgarzy przyjąwszy katolicyzm, przestaliby tęsknić za Konstantynopolem a poczęliby sympatyzować z katolickimi państwami zachodniemi. Temu należało przeszkodzić.

Już w pięć lat później wybiła się Bułgarya znowu na wolność i stała się ogromną potęgą. Car bułgarski począł się nawet tytułować cesarzem Słowian, nie pomnąc wcale na to, że w Polsce panował naonczas wielki polski król Bolesław, któryby mu z pewnością pokazał, gdzie jego granice, gdyby carowi bułgarskiemu polskiej ziemi się zachciało. Nowy car wyzwolił znowu Kościół bułgarski z pod wpływów greckich, ale z Rzymem się nie pogodził. Bułgarya miała więc narodowy swój Kościół.

Pod cesarzem greckim Bazylim II stała się Bułgarya po czterdziestoletniej krwawej wojnie ponownie grecką prowincyą. Tą razą uszanował jednak cesarz grecki narodowy Kościół bułgarski i pozwolił mu być niezależnym z tą tylko różnicą, że każdorazowy patryarcha bułgarski musiał być Grekiem.

Raz jeszcze wybiła się Bułgarya na wolność i zerwała wszelką łączność z Konstantynopolem. Było to w roku 1186. Patryarcha grecki zamieszkał w stółecznem mieście Tirnovie, dopóki go ztamtąd w roku 1393 nie wygnali Turcy, którzy Bułgaryą dla siebie zdobyli. Z utratą wolności utracili Bułgarzy i Kościół narodowy. Na to Grecy tylko czyhali. W roku 1394 oddał patryarcha Konstantynopolitański przywileje dotychczasowego patryarchy bułgarskiego w ręce metropolity mołdawskiego a w niecałe 100 lat później siedział Grek w stolicy byłego carstwa bułgarskiego. Nastały pod względem religijnym dla Bułgarów stósunki gorsze jak pod względem politycznym. Ucisk życia religijnego i duchowego był okro-

pny. Około 1555 roku wyrugowano z liturgii starosłowiański język a zaprowadzono grecki. Grecy pozbawili krajowe duchowieństwo wszelkich wyższych kapłańskich urzędów i utrudniali mu opiekę nad bułgarską literaturą.

Wkrótce nastały prawdziwie rozpaczliwe czasy dla Bułgarów. Do władzy przyszli tak nazwani fanaryoci, o których pisze pewien dyplomata w zeszłym wieku w ten sposób: »W Konstantynopolu w części miasta nazwanej Phanar cyli Fenor mieszkały szumowiny tak zwanego wyższego greckiego społeczeństwa. Było to, rzec można, stowarzyszenie, które wzięło sobie za zadanie dopuszczać się jak najokropniejszych zbrodni. W żadnym języku niema wyrażeń na dostateczne określenie wszystkich zbrodni, które tam popełniano. Bardzo wcześnie uczy się tam syn mordować ojca za tani pieniądz i to w tak zgrabny sposób, że go nie można wcale ścigać. Podłe intrygi, zdrada, obłuda, przeniewierstwa, przedewszystkiem zaś sztuka wyłudzania i przywłaszczania sobie pieniędzy, oto cechy usposobienia fanaryotów, którzy zdobywali sobie u Bułgarów najwyższe kościelne stanowiska. Wyrzutki społeczeństwa, ludzie, którzy tarzali się formalnie w błocie rozpusty i wszelakich innych występkach, zostawali patryarchami Konstantynopolitańskimi, przywłaszczali sobie biskupie stolice w Bułgaryi z takiem uprawnieniem, jak gdyby to był prosty jaki interes lub rzemiosło. Czy człowiek takiego stanowiska był godzien, czy był nieposzlakowanego charakteru, lub miał odpowiednie wykształcenie, o to nie pytano. Kto mógł dostarczyć tak nazwane »największe złote klucze«, temu otwierały się podwoje do wszystkich kościelnych godności. Niejeden kucharz, handlarz tabaki i t. d. zostawał ni ztąd ni zowąd biskupem bułgarskim i zajął wskutek tego niezwykle wpływowe stanowisko, gdyż biskup na Wschodzie jest świecką najwyższą Głową chrześcian i zastępcą w obec władz. Z początku skupowali ci kupczyciele godność kościelną. Za najwyższą godność płacono 1000 dukatów, ale już w roku 1573 zażądała Turcya sześć razy tyle. (Dokończenie nastąpi).

NA KRZYŻU.

Z PODANIA O MAKOLĄGWIE.

Ukrzyżuj! krzyczą żydostwa zgraje,
»Krew Jego na nas niech spadnie:
Za Mesyasza on się podaje
I lud uwodzi nam zdradnie!«

Piłat, umywszy ręce, zezwala;
Pan na ramiona krzyż kładzie
I na Golgotę, co widna zdala,
Idzie w ścieśnionej gromadzie.

Biją Go, szarpią tłumy okrutne;
Serca ich twardsze od skały.
Pan oczy podniósł: o, jakże smutne!
Cichą miłością pałały.

Już na Kalwaryi. Srodzy żołnierze
Wnet się Chrystusa imają:
Jeden obnaża, drugi młot bierze,
Szarpiąc do krzyża skuwają.

Ziemia się trzęsie, niebo ściemniało,
Umarli z grobów powstali:
Wszystko żałobne szaty przywdziało:
Ludzie litości nie znali!

Z pośród chmur czarnych ptaszek maleńki,
Coraz ku ziemi się zbliża,
I robiąc koła nad znakiem męki,
Siada na ramię u krzyża.

A pragnąc ulżyć boleści srogiej,
Ciernie wyrywa ze skroni;
Przy tem zajęciu kroplę krwi drogiej
Na pierze sobie uroni.

I trzepie skrzydły ptasze litośne,
Błyszcząc krwią świętą na piórach
Wznosi się, nucąc pienia radosne,
I ginie w czarnych gdzieś chmurach.

W 200-letnią rocznicę śmierci Jana III Sobieskiego.

Dnia 12 Września 1883 roku obchodziliśmy a wraz z nami obchodził cały świat chrześciański 200-setną rocznicę bitwy pod Wiedniem, w której Jan Sobieski jako wódz naczelny pobił Turków na głowę i uratował ówczesną Europę od zalewu tureckiego a z nim razem od islamu.

W tym roku dnia 17 Czerwca obchodziliśmy drugą, ale bolesną 200-setną pamiątkę, pamiątkę śmierci tego bohatera polskiego.



JAN III. SOBIESKI.

Naród każdy żyje w swych bohaterach i słynnych mężach, którzy się zasłużyli około niego czy to na polu walki, czy też nauki, który żyli jego życiem i najlepszą cząstkę swej istoty dla niego poświęcili. Taki naród zginąć z powierzchni nie może.

Ciężko Pan Bóg skarał naród polski, odbierając mu samodzielność polityczną, skarał nas za grzechy przodków naszych, którzy zamiast pracować dla dobra ojczyzny, pracowali jedynie dla dobra własnego. Szlachta pogrążona była w wirze zabaw i rozpasaniu, mieszczaństwa nie było, a przynajmniej bardzo mało gdyż handel spoczywał w ręku żydów i cudzoziemców, chłop polski zaś żył w ucisku i ciemnocie. Wojska było bardzo mało i to bez karności, słowem, Polska w zeszłem stuleciu przedstawiała obraz rozpaczliwej niemocy. Przyszli sąsiedzi, którzy czyhali na smaczny kąsek, Polskę rozdarli na trzy części i podzielili się nią.

Wnikając okiem ducha w dzieje Polski zeszłego stulecia zdaje nam się, że jakiś szał chorobliwy opanował wtedy umysły i serca Polaków. Wszyscy wiedzieli, że taki stan odrętwienia musi sprowadzić nieszczęsne skutki na Polskę, mało kto jednak miał siłę i moc nietylko temu zaradzać, ale choćby tylko głos przestrogi podnieść. Zerwał się naród z grzesznego letargu, gdy było zapóźno.

Cierpimy dziś wszyscy strasznie za grzechy przodków. Jesteśmy przez innych skazani na wymarcie narodowe. W jedynej Galicyi panuje swoboda narodowa. Traktowani jesteśmy, jakobyśmy nie byli godni istnieć jako naród sam w sobie. Tymczasem tak nie jest. Jak powyżej powiedzieliśmy, naród nasz miał chwalebną przeszłość, nie był pasożytem na ziemi, owszem walczył mężnie w obronie chrześciaństwa, tak że Polskę »przedmurzem chrześciaństwa« nazwano, krzewił nauki, handel i sztuki piękne, miał wielkich pisarzy i poetów, których nam inni zazdroszczą i chętnieby za swoich poczytali. Czyż więc w obec tak chwalebnej przeszłości jest możebnem, ażebyśmy tak dalece znikczemnieli i pozbyli się najwarowniejszych twierdz, jakie nam jeszcze pozostały, to jest wiary i języka? Nie! Biednym jest nasz naród, to prawda, błędy to przodków naszych, którzy handlem się nie trudnili, lecz obcym źródła dochodu pozostawiali. I rólnictwo, które stanowiło dawniej prawie jedyne źródło dochodów, dziś podupada, tak że koniecznie kupiectwa i handlu chwytać się musimy. Nie mamy kapitałów i tych

zasobów zmysłu kupieckiego, któreby nam dozwalały równoważyć na tem polu z innymi narodami, ale praca, skrzętność a przedewszystkiem oszczędność są temi cnotami, które powoli dozwolą nam wydobyć się na wierzch. Doprowadzą one do dobrobytu narodowego, który sprawi, że zdobędziemy sobie należyte uznanie wśród obcych narodów. Wspierajmy dalej jedynie polski przemysł, bo kapitał, jaki obcym płynie do kieszeni, nigdy do nas nie powróci. Pamiętajmy o tem, że w dzieciach naszych spoczywa przyszłość narodu, dla tego uczmy je czytać i pisać po polsku, bo to mocny fundament, na którym jedynie może się oprzeć przyszłość narodu.

Niech chwalebna przeszłość narodu, zwłaszcza »słońce Polski«, jak nazywamy Sobieskiego, przyświeca nam we wszelkich sprawach, które podejmujemy w imię dobra sprawy ogólnej, a wtedy pewni być możemy, że choćby prześladowanie wszystkiego co polskie było raz jeszcze tak wielkiem, jak dziś, istnieć nie przestaniemy.

SPIŻARNIA ŚWIATA.

(Dokończenie.)

Każde miasto ma swoją specyalność: Ostenda słynie z ostryg, Bruksela z koronek, Wenecya ze zwierciadeł, Florencya z mozaik, Bolonia z mortadeli, Neapol z korali, a Chicago — z wieprzowiny; temu nawet zawdzięcza swoje miano Porcopolis, nadane mu złośliwie przez inne miasta amerykańskie, zazdroszcząc ogromnych zysków, jakie Chicago ciągnie z tej gałęzi przemysłu. Corocznie tam w szlachtuzach miejskich biją do ośmiu milionów wieprzy, rozsyłają zaś w świat 400 do 600 milionów funtów szynek, smalcu i słoniny. Chicago ma z wieprzowiny 120 do 140 milionów dolarów rocznie. Wdzięczne miasto powinno wziąć za herb swój — prosię.

Zdaje się, że w Porcopolis, przepraszam, w Chicago, na ulicach musi się wciąż rozlegać kwik nierogacizny, dworce kolei powinny być przepełnione wieprzami z Jowy, Illinois i Missouri, w każdym domu muszą być sklepy z szynkami i kiełbasami, powietrze nawet musi być przejęte wonią wędlin i smalcu; tymczasem można miesiącami przebywać w Chicago i nie widzieć nawet ogona wieprzowego. Przyczynia się do tego olbrzymi rozwój miasta i znakomite urządzenie szlachtuzów; przekonałem się o tem, otrzymawszy zaproszenie firmy Armour et Com. do zwiedzenia jej zakładów, zwanych Union Stock Yards, stanowiących główny punkt handlu nierogacizną, czyli wieprzową dzielnicę Chicago. Kolej dowiozła mię do samej bramy, zkąd wraz z tłumem robotników, handlarzy, pastuchów, agentów i kupców, dostałem się do ogromnego budynku, mieszczącego biura towarzystwa. Gmach zajmuje przestrzeń 345 morgów i mieści oprócz sal, 500 do 600 chlewów; w biurach pracuje 200 urzędników.

Linie kolei połączone są ze Stock-Yards, pociągi z nierogacizną dostają się więc prosto na dziedziniec, zkąd trzodę zapędzają do chlewów. Kompania rozporządza czeredą 2,000 pastuchów i dozorców, którzy tak są wprawni, że wszystko idzie jak po maśle, a właściwie jak po smalcu, ponieważ o wieprzowinie mowa. Biedne zwierzęta, przeczuwając jaki los je czeka, starają się wymknąć, ale to im się nie udaje. W zabudowaniach kompanii, które kosztowały 6 milionów marek, może się pomieścić 22,000 owiec, 4,000 koni i 200,000 wieprzy; nadto, w ogrodzeniach, 30,000 sztuk bydła.

Było to w marcu, więc kiedy handel mięsny jest najbardziej ożywiony. Miałem wspaniały widok olbrzymiego stada wołów, których groźny ryk rozle-

gał się daleko. Między bydłem uwijali się rzeźnicy, zwinni i silni, z ogorzałą twarzą. Trudno mieć wyobrażenie, jaki w chlewach panuje pisk, kwik i wrzawa. Mimo takiego nagromadzenia czworonożnej czeredy w dziedzińcach i chlewach istnieje czystość, a karmienie i pojenie zwierząt odbywa się z nadzwyczajną regularnością. Artezyjskie studnie dostarczają wody do koryt, których długość wynosi 3 mile angielskie. Dwa razy tak wielką jest długość żłobów i koryt do karmienia.

Po za obrębem murów Stock Yards, powstało miasteczko o schludnych i wygodnych domkach, w których mieszkają robotnicy zajęci w szlachtuzach. Zarobek ich dzienny wynosi od dwóch do pięciu dolarów.

Przy mnie właśnie pędzono tysiące wieprzy do szlachtuza. Poszedłem za tą lamentującą gromadą, która w godzinę później leżała w piwnicach poćwiertowana. Nie bez odrazy byłem świadkiem scen mordu; nie radzę osobom nerwowym zwiedzać wieprzowej dzielnicy w Chicago. Długo potem nie mogłem patrzeć na szynki i kiełbasy.

Biedne zwierzęta, zanim zdołały się opatrzeć, już zostały pochwycone za tylne nogi i wisiały na haku łbem na dół. Wtedy przyszła kolej na kata... chciałem powiedzieć — rzeźnika; stał on zbryzgany krwią i zatapiał nóż w wieprzach, które, w miarę jak otrzymywały cios śmiertelny, posuwano dalej i zrzucano w basen z gorącą wodą. Po kilku minutach wyjmują je ztamtąd i kładą na stołach dla oczyszczenia. Służy do tego machina, poruszana siłą pary, zaopatrzona w stalowe szczotki, które zdejmują szczecinę. Po tej operacyi, hakami wciągają wieprze na stoły, gdzie robotnicy krótkiemi nożami otwierają im brzuchy i wrzucają wnętrzności w wagoniki, które zawożą je do kuchni dla wygotowania tłuszczu. Inny oddział rzeźników ucina wieprzom łby, płata na ćwierci i umieszcza w lodowni. Po upływie 48 godzin, solą je i pakują w beczki. Nic tu nie ginie, każda cząstka jest zużytkowana: kości, wnętrzności, szczecina.

W zakładach Armoura, w ciągu zimowych miesięcy zabijają dziennie 12,000 wieprzy, solą je, pakują i wysyłają. Ogółem cyfra zarżniętej tu nierogacizny wynosi rocznie 1,750,000 sztuk; prócz tego zabijają jeszcze w tych samych szlachtuzach 712,000 sztuk bydła i 413,000 baranów. Osobne wagony chłodzące, refrigerator cars, w liczbie 2,250 rozwożą mięso po całej Ameryce. Wartość produkcyi rocznej wynosi 280 milionów marek. Chicago liczy 70 podobnych zakładów, żaden jednak nie ma takich, jak p. Armoura zakładów.

Z przyjemnością opuściłem szlachtuz, zbroczony krwią niezliczonych ofiar; odetchnąłem świeżem powietrzem, które podwójnie wydało mi się przyjemnem po wstrętnej atmosferze. Za chwilę już szedłem po wspaniałych bulwarach, gdzie nie było słychać kwiku mordowanych wieprzy.

Przechodząc obok sklepu kolonialnego, mimowoli zwróciłem uwagę na przepyszne figi smyrneńskie i odrazu myśl moja z nad jeziora Michigan przeniosła się na drugą półkulę, do Azyi Mniejszej, gdzie palący skwar łagodzą chłodne od morza Śródziemnego powiewy, a w żarach słonecznych dojrzewają oliwki i słodki owoc winogradu. Po przykrych wrażeniach, wyniesionych z bydłobójni, przyjemną będzie zmiana, zapraszam więc czytelników do cienistych gajów figowych.

Figi suszone to specyalność Smyrny, a zarazem największe źródło jej bogactwa; z tutejszego portu masami wywożą się one do Europy i Ameryki. Warto zwiedzić plantacye figowe, rozciągające się na przestrzeni 50 kilom. długości, a 8 szerokości, w dolinie Meandru i Kaystros, u podnóża gór Sipylos. Gruba warstwa humusu, długo przechowująca wilgoć, nadzwyczaj sprzyja hodowli.

Drzewo figowe dopiero w piątym lub siódmym roku zaczyna rodzić owoce zdatne na sprzedaż, potem jednakże przez lat 60 do 80 daje corocznie obfite plony. Figa smyrneńska jest żółto-

zielona, mięso ma białe, w środku purpurowe, smak nieco mdły. Przy najlżejszem pociśnięciu wydaje gęsty sok bursztynowy podobny do miodu.

W Czerwcu, kiedy owoc dochodzi do połowy swej wielkości, właściciele przynoszą ogromne kosze, pełne małych, zielonych fig, nawleczonych na sznury, które zarzucają na gałęzie. Ma to swój cel i pożytek: zielone figi rosną dziko, są gorzkie i niezdatne do jedzenia, ale mają tę szczególną własność, że nie dopuszczają opadania szlachetnych owoców przed ich dojrzeniem.

W Sierpniu dojrzałe figi zaczynają opadać i wtedy cała ludność okolicznych wsi dąży do plantacyi zbierać owoce. Trzeba się spieszyć z robotą, gdyż po upływie 24 godzin już figi są popsute. Natychmiast po zebraniu rozkładają je na słońcu, na rogożach. Żar słoneczny jest tu tak wielki, nawet we Wrześniu, że w przeciągu tygodnia figi już są pomarszczone, niezdatne na wywóz.

Najlepszy gatunek zowie się eleme; jest tak delikatny, że może być przenoszony tylko w płaskich i lekkich koszach. Najgorszy gatunek, zwany herda, nigdy nie idzie na sprzedaż, lecz używany bywa na paszę dla bydła. Te ostatnie pakują w grube, żółte worki; dla lepszych gatunków używane są worki z koziej sierci, wewnątrz gładkie, bardzo kosztowne. Przewóz do miasta odbywa się na wielbłądach, prowadzonych przez dewedżich, tworzących osobny cech i posiadających sławę wielkiej uczciwości, co na Wschodzłe jest osobliwością.

Gatunkowaniem fig zajmują się wyłącznie kobiety, różnego wieku i narodowości: Greczynki, Turczynki, Armenki i Żydówki. Można sobie wyobrazić, jaki gwar tam panuje, gdyż według chwalebnego u kobiet zwyczaju, wszystkie naraz mówią. Są one tak wprawne, że nie patrząc, tylko za dotknięciem owocu wiedzą, czy należy on do pierwszego, drugiego lub trzeciego gatunku; rzucają każdy na stos odpowiedni. Czwarty gatunek, herda, zostawia się na ziemi, pakuje w worki i zużywa na miejscu. Praca przy gatunkowaniu nie jest ciężka, ale bardzo zmudna, gdyż każda figa musi przejść przez ręce robotnicy. Owoc rozgatunkowany nazywa się maccaronia.

Pakowaniem zajmują się wyłącznie mężczyźni, więc w salach przeznaczonych do tej roboty panuje, w przeciwieństwie do sortowni, głęboka cisza, przerywana tylko od czasu do czasu jednym wyrazem: maccaronia, co oznacza żądanie owocu. Obok każdego robotnika stoi naczynie z wodę słoną, w której macza się palce, przed rozpłaszczeniem każdej figi. Dodatek soli przyspiesza cukrzenie się owocu. Figi są najlepsze do jedzenia w trzy miesiące po ich zapakowaniu.

W połowie października ustaje robota, żniwo figowe już ukończone, w plantacyach pusto i cicho, na moście karawanowym w Smyrnie nie słychać wesołego brzęku dzwoneczków u szyi wielbłądów, wiozących słodki towar do miasta. Ćwierć miliona funtów fig rozeszło się w różne strony świata, ale smakoszów nic to nie obchodzi, gdzie figi się rodzą i przez ile rąk przeszły, zanim się pod ich zęby dostały.

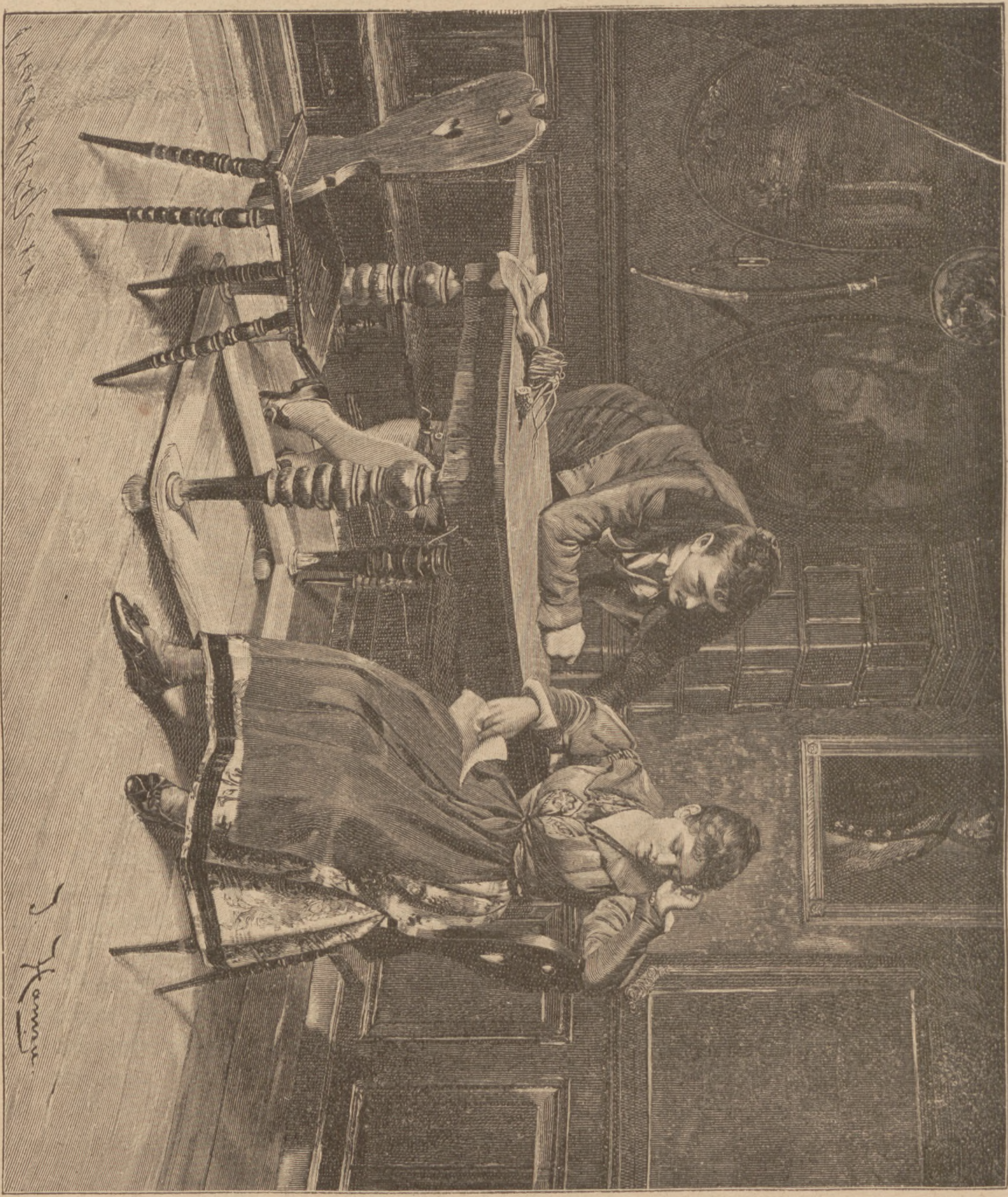
Biesiada literacka.

MAŁPY.

(Ciąg dalszy.)

Trzecia główna grupa małp starego lądu obejmuje Pawiany (Cynocephalus). Wyróżniają się one bardzo wydłużonym, z przodu zaostrzonym pyskiem, który łącznie z bardzo wielkimi kłami i dużą, płaską głową wybitnie przypomina psa; ztąd ta grecko-łacińska nazwa, używana już przez Arystotelesa.

Ogon bywa rozmaitej długości, nigdy jednak nie bywa tak długim, jak u kotowców; torebki policzkowe są obszerne, a żywo zabarwione nagniotki pośladkowe, bardzo wielkie. Krępa, silna budowa ciała i krótkie, muskularne, silne członki, nie wyłączają wprawdzie u pawianów możności wspinania się na drzewa, lecz nie czynią im tak miłym w lasach pobyt, nad który przekładają urwiska skał, wśród których żyją gromadnie całemi rodzinami i zręcznie i lekko drapią się na skały. Budowa ich i obyczaje stawiają te małpy bliżej czworonożnych zwierząt.



WYZNANIE. (Obacz objaśnienia rycin na str. 224.)

Ujemne strony charakteru małp wypiętnowane są na nich nader wyraziście, mianowicie złośliwość i chętka szkodzenia, wsparta wielką fizyczną siłą. Równie zuchwałe i chciwe rabunku, jak silne i przebiegłe, zrządzają wiele szkody osadnikom i zdarza się, że banda pa-

wianów napada na robotników w polu, spędza ich i wtedy bez przeszkody niszczy i rabuje plony.

Również dziko i gwałtownie zachowują się względem siebie a przywódzca bandy nie zna, co to jest litość. Sir Samuel Baker opowiada w swych podróżach po Abissynii: »Kupy pawianów są teraz (w Październiku) bardzo liczne, ponieważ ziemia wyschła, tak że wodę do picia znaleźć mogą tylko w rzece, na której brzegach rosną krzaki rodzące jagody; tam też ciągle przebywają. Zabawnie jest widzieć wielkie samce przechadzające się poważnie po brzegu w towarzystwie całej bandy, liczącej przedstawicieli każdego wieku. Samice noszą małe na grzbiecie, które też siedzą na grzbiecie matki zupełnie po dżokejsku, albo też czasem wyciągają się jak długie i trzymają się za kudły matek. W tem która z bystrzejszych młodych małp znajduje krzak okryty soczystemi jagodami; ponieważ chciwe pożeranie nie ujdzie uwagi reszty towarzystwa, wtedy cała młodzież tłumnie się rzuca na zdobycz, przyczem niezwłocznie rozpoczyna się zacięta walka o lepsze miejsca, kończąca się ogólną bójką; wtedy wpada stary pawian; jednemu da parę szturchańców, drugiego wytarga za czuprynę, trzeciemu da uczuć ostrze swoich zębów w miękkiej części ciała, czwartego, który się chciał ratować ucieczką, uchwyci za ogon i mocno wytrzęsie; porządek zostaje natychmiast przywrócony, a dalszym sporom zapobiega tym sposobem, że sam zabiera się do krzaku i objada go doszczętnie, nie dopuszczając nikogo więcej z rodziny.

Z bogatego grona okazów gatunku pawiana wybieramy największy i najsilniejszy, to jest M a n d r y l a; jest to pod względem kształtów, ubarwienia i własności, istne straszydło. Dorosły samiec w wyprostowanej postawie ma prawie półtora metra wysokości, członki są krótkie i silne, ciało grube i niezgrabne. Głowa jest wielka, ale prawie bez czoła, brwi bardzo wydatne, pod niemi głęboko osadzone, małe, przenikliwe oczy. Kości policzkowe rozrosłe do niesłychanych rozmiarów, tworzące po obu stronach nosa wyniosłości jak pięść duże, na których znajdują się pręgi jasno-niebieskiej i purpurowej barwy.

Ogon jest bardzo krótki i zwykle podniesiony, nagniotki pośladkowe są bardzo wielkie, połyskujące, krwisto-czerwonej i niebieskiej barwy. Pysk i wargi są wielkie, nabrzmiałe, wysunięte na kształt ryja, jasno-brunatne, nos zaś krwisto-czerwony. Jednem słowem, jest to wstrętnie szpetne zwierzę, prawdziwy potwór z powodu swej złośliwości, dla której w pewnym wieku, nawet dla człowieka jest niebezpieczny. Cuvier pisze: »Jego spojrzenie, głos, wrzask, dowodzą bydlęcej bezwstydności; sprosne swe chuci zadawalnia bez najmniejszego wstydu. Zdaje się, jak gdyby przyroda chciała w nim wystawić obraz występku w całej jego szpetności«. Na wolności trzyma się wielkiemi gromadami i podbił pod swoje panowanie lasy Nowej Gwinei, gdyż nie lęka się niczego; zdołał nawet łagodne słonie wypędzić z zajmowanych przez siebie obszarów. W niewoli wytrzymuje dość długo i okazuje szczególne upodobanie w napojach wyskokowych i fermentowanych. W Londynie znajdował się nader ciekawy okaz mandryla, który codziennie wypijał kwartę porteru z wyraźnem zadowoleniem; nauczył się też palić fajkę, lecz to nie sprawiało mu tyle przyjemności co picie. Zabawnie było widzieć go siedzącego w krześle, z kuflem porteru w ręce, z krótką fajeczką w pysku, którą palił z powagą i wytrwałością Niemca lub Holendra«. Wstrętne to zwierzę zamieszkuje Gwineę, mianowicie Złote wybrzeże i nie małym jest postrachem dla krajowców i słusznie, gdyż tłuszcza tych silnych i niesłychanie dzikich bestyi, podczas gdy murzyni zajęci są robotami w polu, napada na wioski i znęca się nad kobietami i dziećmi. Mniej lub więcej wszystkie pawiany wzbudzają postrach i z pewnością nie inne uczucie powodowało dawnych Egipcyan do oddawania czci pewnemu gatunkowi pawiana, Hamadryas, zamieszkującego oba brzegi Czerwonego Morza, o czem świad-

czy uwiecznienie jego postaci na pomnikach egipskich, nawet w charakterze sędziego sądzącego złe i dobre ludzkie sprawy, ponieważ ma przed sobą wagi i pilnie sprawdza ich regularność.

(Dokończenie nastąpi.)

NIE MOGLI ICH ROZŁĄCZYĆ.

(Ciąg dalszy.)

Przechodziły tygodnie a Patrasche nie pracował i rzecz dziwna! słyszał same łagodne słowa, otrzymywał najczulsze pieszczoty. Starzec i dziecko zrobili mu posłanie z mchu; nocą nadstawiano ucha, czy oddycha a pierwsze jego szczeknięcie drżące i niepewne, powitane było okrzykiem radości. Nello pobiegł na łąkę i przyniósł wieniec stokrotek, które wśród uścisków zawiesił na żółtej szyi Patrascha. Pies pierwszy raz w życiu ocknął się bez pomocy uderzeń i klątwy. Otworzył oczy ździwiony i zwilżył je łzami; otworzył serce i napełnił je czułą i trwałą wiernością.

Brabasson był człowiekiem — więc był rozumnym; Patrasche będąc psem — potrafił być wdzięcznym. Jego brunatne oczy śledziły uważnie każde poruszenie towarzyszy, przeniknąć chciały myśli swych wybawicieli. Nadmienić trzeba, że stary żołnierz zajmował się zawożeniem mleka do Anvers. Dostarczali mu go sąsiedzi, szczęśliwi posiadacze krów, a czynili to trochę z litości, trochę dlatego, że im trzeba było uczciwego człowieka, na którego mogliby się spuścić z całem zaufaniem. Ale starzec miał już dzisiaj lat ośmdziesiąt dwa, z jakimż trudem przychodziło mu ciągnąć napełniony garnkami z mlekiem wózek do Anvers, odległego o milę od wioski. Patrasche w dniach swej rekonwalescencyi, przystrojony w wieńce, wygrzewając się na słońcu przed chatą, widział odchodzący i powracający wózek. Kiedy już zupełnie do zdrowia powrócił, uprzedzając chwilę w której Daas wyjeżdżał do miasta, stanął przed wózkiem i liżąc rękę pana starał się okazać swoję chęć do pracy.

Daas dziękował Bogu, że mu dozwolił przyprowadzić psa do życia. Zima nadeszła, niedołęztwo starca zwiększało się, napróżno usiłował ciągnąć mleko po błotach i śniegach, bez energicznej pomocy wiernego sługi. Dla Patrascha, przyzwyczajonego do ciężkiej pracy, była to zabawka, a przytem robota trwała niedługo; po jej ukończeniu był wolny, mógł wyciągnąć się na słońcu, latać po polach lub bawić się z dzieckiem. Handlarz został zabity w kłótni karczemnej, nikt więc już nie stanął na przeszkodzie do zupełnego uszczęśliwienia Patrascha.

Gdy Nello dochodził do lat dwunastu i poznał dobrze miasto, gdzie często towarzyszył dziadkowi, mógł już sam sprzedawać mleko. Młodzieniec z psem tworzyli piękny dla artysty obrazek: zielony wózek ozdobiony w błyszczące zaprzęgi, żółty ogromny pies z grzywą obwieszoną dzwonkami wesoło brzęczącemi, chłopiec biegnący przy nim z uśmiechniętą twarzyczką — przypominał dzieci z obrazów Rubensa.

II.

Flandrya nie jest pięknym krajem. Rozległa płaszczyzna byłaby nużącą dla oka, gdyby jej nie urozmaicały różnobarwne zboża, grupy drzew, wioski rozrzucone tu i owdzie i figury z szarego kamienia. Mieszkaniec gór i lasów tęskniłby w tym kraju nizkim, a jednak ów czysty, jasny horyzont, nie zasłonięty lesistemi górami, pomimo smutku ma wdzięk odrębny, sobie tylko właściwy; był więc ładny dla oka dziecka i jego psa. To też używali tej piękności, bo w wolnych chwilach siadywali nad brzegiem morza, dumając całemi godzinami. W zimie było gorzej: musieli wstawać w nocy, chata taka ładna w lecie i w

jesieni z krzewiącem się bujnie winem, dającem wprawdzie cień ale nigdy owoców, niemiłosierną była w mroźnej porze roku. Wtedy wiatr przeciskał się przez szczeliny chrustu, często śnieg zamarzał na zsiniałych nóżkach Nella. A jednak on się nie skarżył; jeżeli zaś ktoś litościwy dorzucił do zapłaty za mleko łyżkę strawy gorącej, wtedy dzieciak był nawet bardzo wesoły a i Patraschę z tej litości zawsze korzystał. Jedna tylko myśl niepokoiła Patrascha.

Antwerpia posiada i na wspaniałych ulicach i w ciemnych zaułkach i nad brzegami wody, słowem na każdem prawie miejscu pamiątki po wielkim malarzu. Zwyczajne kamienie i rzeźbione posągi przypominają go. Sława imienia brzmi na ustach ludzi, brzmi w śpiewie ptaków unoszących się nad mogiłą uświęconą geniuszem Rubensa. Lecz wielkość tego mistrza nie w samem tylko mieście gości, — wybiega i poza mury. W którą stronę się zwrócisz, wszędzie go spotkasz, wszędzie ściga cię jego geniusz.

Bez Rubensa czemże byłaby Antwerpia? mieściną pełną sklepików, którąby znał tylko ten, coby potrzebował załatwić jakiś sprawunek. Z Rubensem jest to miejsce święte dla sztuki. O narodzie! jakże słusznie chełpisz się ze swych wielkości; przez nich jedynie nazwisko twoje słynie wśród świata.

Ile tylko razy Nello wszedł do kościelnego portyku, zaraz i Patrasche, ze swym wózeczkiem, usiłował iść za panem, lecz kościelny w czarnem ubraniu i laską ze srebrną gałką odpędzał biedaka.

Nello często chodził do katedry i zostawiał psa na ulicy; ten wył, szczekał, próbował wejść — wtedy Nello wybiegał z kościoła, obejmował za szyję Patrascha, obcierał zwilżone potem czoło, powtarzając zawsze jedno: »Gdybym je tylko mógł zobaczyć! zobaczyć — ale jakim sposobem?«

Razu jednego, gdy kościelny był gdzieindziej czemś zajęty, Patrasche skorzystał ze sposobności i podążył za panem do wnętrza świątyni. Nello klęczał przed obrazem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Twarz jego była jakby w zachwyceniu. Spostrzegłszy Patrascha powstał, znaglając go łagodnie do wyjścia. Gdy przechodzili obok zasłoniętych obrazów, chłopiec odezwał się do swego towarzysza: »Jakże to okropnie, nie widzieć ich dlatego, że się niema pieniędzy! Jestem pewien, że nie spodziewał się, że je przed biednemi chować będą. On byłby nam pozwolił uwielbiać się codziennie! Gdybym je zobaczył tylko, umarłbym już szczęśliwy!« Ale ich nie mógł zobaczyć, a Patrasche nie mógł pomódz przyjacielowi, bo uzbierać tyle pieniędzy, wiele dozór kościelny wymaga za obejrzenie obrazu »Zdjęcie z Krzyża« było nad jego możność.

Biedny roznosiciel mleka otrzymał z niebios to błogosławieństwo, albo to przekleństwo, które geniuszem ludzie zowią, ale nikt się tego nie domyślał, on sam nie wiedział o tem.

— Jedyne moje życzenie, ażeby ta chata i kawałek ziemi należała kiedyś do ciebie — mawiał często Jan Daas.

Posiadać kawałek ziemi, być gospodarzem, panem, to marzenie każdego flamandczyka; nic więc dziwnego, że i stary żołnierz, który przebiegłszy tyle świata, nic z niego nie zachował dla siebie, dla swego wnuka, pragnął cichego życia na małym kawałku ziemi, wdzięczniejszej nieraz, niż serca ludzkie. Nello milczał na te projekta, lecz duszę jego szarpała ta sama chęć sławy, która wzniosła Rubensa i wszystkich jego poprzedników. Nello nie wyjawiał swych myśli nikomu, wyjąwszy Patrascha. Nie miał odwagi powierzyć ludziom swych uczuć, a tem mniej dziadkowi, dla którego Madonna zawieszona w pierwszej lepszej izbie wieśniaczej jest równie piękną, jak znajdująca się w katedrze. Prócz Patrascha, mógł jeszcze komuś drugiemu zwierzyć się z całą szczerością.

Mała Adelajda córka młynarza, właściciela czerwonego młyna, który nad całą wioską górował, była jego przyjaciółką. Adelajda jest dzieckiem rumianem, z oczami hiszpanki, przysłoniętemi

jednakże mgłą zwykłą w oczach flamanczyków. Oczy takie są bardzo piękne; takim oczom podobają się wspaniałe zamki, imponujące pałace, złocone fasady, wszystko co poetycznie wygląda. Adelajda była najbogatszą dziewczyną w wiosce. Jej suknia niebieska, wełniana, nie była nigdy podartą, a z jarmarku dostawała tyle złoconych orzechów i cukrowych baranków, że ich w ręku nie mogła utrzymać. Do pierwszej komunii ubraną była w koronkowy welon, który przed nią nosiła jej matka i babka. Ludzie mówili już teraz o niej jako o dobrej partyi, lecz dzieweczka lekceważyła to sobie, przekładając nad wszystkich towarzystwo Nella i jego psa. Razem przebiegali pola i pagórki, a wieczorem siadywali oboje przed kominkiem, patrząc w trzaskający ogień. Razu jednego ojciec małej, poważny a nawet surowy gospodarz Cogez, zeszedł ich na łące znienacka i stanął zachwycony piękną grupą.

Adelajda siedziała na miejscu trochę wzniesionem, trzymając na kolanach żółtą głowę Patrascha. Oboje byli ustrojeni w wieńce z bławatków i maków. Nello zaś na kawałku jodłowej deski rysował węglem ich portreta.

Z nietajonem zadowoleniem patrzył młynarz na ten rysunek, bo podobieństwo było zadziwiające, a on kochał szalenie swoję jedynaczkę. Niemniej połajał ją za lenistwo; w końcu wyrywając drewno z rąk Nella, zapytał:

— Dużo takich głupstw robisz?

— Rysuję wszystko co kocham i co mi się podoba; — odpowiedział Nello zarumieniony.

Młynarz zamyślił się na chwilę.

— Stracony czas — powiedział, wyjmując franka z kieszeni — lecz ponieważ to przypomina Adelajdę i zrobi przyjemność mojej żonie, zabieram deskę i płacę.

Rumieniec wystąpił na twarz chłopca; podniósł dumnie głowę, zakładając w tył ręce i odezwał się:

— Schowaj pieniądze i portret panie Cogez, nieraz przyszliście mi z pomocą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Wyznanie. Wiecznie ta sama powtarzająca się historya. Młodzieniec z dziewczyną spotykają się przypadkiem na doczesnej życia drodze i jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wzajemną ku sobie zapałali miłością. Miłość to cicha, więc prawdziwa. Zamknęła się w najgłębszej skrytce serca, jakby się lękała, ażeby się nie zdradziła przed ludźmi. Jedynie w samotności na ustroniu w obliczu gwiazd lub księżyca wylewa dręczone serce zdrój skarg i lamentu. Jedynie westchnienie ciche lecz głębokie zdradza mękę serca, które przeszył amor miłości. Ale skończył się dla naszej pary czas utrapienia. Razu pewnego znaleźli się obaj — niewiadomo, czy ten wypadek nazwać przypadkiem, czy przeznaczeniem — sam na sam. Młodzieniec niezdolen dłużej ukrywać swego uczucia ku wybranej swego serca. W namiętnych choć prostych, gdyż z wezbranego serca płynących słów, wynurza jej swą miłość. Słucha go dziewczyna, jakby muzyki najcudniejszej. Rumieńce gorące palą jej lica, pierś zaś gwałtownie to wzbiera, to upada. Niezdolną słowa wypowiedzieć, radość sznuruje jej głos. Młodzieniec czuje wzajemność uczucia aż nadto dobrze, i dla tego coraz śmielej, coraz natarczywiej dopomina się ostatniego słowa, wie on, jak wypadnie, ale temwięcej go pożąda. Wydobywa się ono w końcu szeptem. Gorący, namiętny pocałunek jest zadatkiem przyszłego szczęścia dwojga tych ludzi.

Pan utonął. Obrazek na str. 224 najdobitniej nam charakteryzuje przysłowiowe przywiązanie psa do pana swego. Przypatrzmy się tej skurczonej postawie psa, temu jego wzrokowi, jaka w nim żałość bezgraniczna się maluje. Pan mu utonął! Czyż może dla niego być coś straszniejszego nad stratę tego, któremu poświęcił całą swą istotę, przy którym wzrósł i wychował się, w którym widział zawsze i wszędzie swego najlepszego towarzysza? Koń z żałości nad śmiercią swego pana, Stefana Czarnieckiego, zmarł na trzeci dzień, kto wie, czy i to wierne psisko przeżyło długo chlebodawcę swego. Nie byłby to pierwszy przykład tego. Nieraz już czytaliśmy, że pies zdechł z żałości na grobie pana swego.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Dwieście funtów.

Parowiec »Hetta« rozbił się na pełnem morzu; spuszczono łodzie, ale niebawem wszystkie znikły w głębinach, jedna tylko się pozostała, a w niej siedmioro ludzi: czterech marynarzy, porucznik i dwie dziewczynki, córeczki kapitana.

Fale, piętrząc się, tworzyły ruchome wały i zapadały w otchłań, z hukiem podobnym do uderzenia piorunu. Wiatr szalał po spienionych przestworach wód a sternik, ocierając co chwila twarz zmoczoną, powtarzał porucznikowi, że burza potrwa ze dwie godziny.

Łódź była jednym szczątkiem, pozostałym z pięknego okrętu. Garstka rozbitków, która się do niej schroniła, znużona trudami i bezsennością, zamglonym wzrokiem wpatrując się w chmurny widnokrąg, badała, czy na mrocznem jego tle nie ukaże się ziemia lub zbawczy żagiel.

Przez szczelinę w łodzi woda sączyła się nieustannie; wyrzucono już wszystko, co obciążało wątły statek.

— Odwagi! — zachęcał porucznik.

Woda wciąż się sączyła, łódź zanurzała się coraz głębiej. Marynarze rzucili już w otchłań swoje odzienie i drżeli z zimna, smagani wiatrem, przemokli, znużeni.

Świtało, kiedy porucznik wydał okrzyk radości. Łódź, porwana na grzbiet bałwanu, zawisła na chwilę między niebem a morzem; z tej wysokości bystre jego oczy dojrzały ziemię. Nadzieja rozjaśniła stroskane twarze. Krótką była radość: łódź zanurzyła się znowu głęboko.

— Poruczniku — szepnął sternik — łódź niedługo pójdzie na dno...

— Milcz! — przerwał mu oficer.

— Trzeba wyrzucić z niej koniecznie dwieście funtów — dowodził uparcie stary marynarz.

— Zkąd ich wziąć?

Sternik i porucznik rozmawiali z sobą po cichu, tymczasem inni majtkowie wiosłowali niezmordowanie, żeby jak najprędzej dobić do lądu.

Za kwadrans morze wszystkich pochłonie.

— Jeden z nas musi się poświęcić dla ocalenia reszty — rzekł sternik.

Porucznik zbladł i zaciął zęby.

— Masz słuszność — powtórzył ponuro. — Spojrzyj na te dzieci — dodał po chwili — to najdroższe skarby kapitana.

— Zacny nasz kapitan powierzył je tobie poruczniku... jesteś teraz jedynym ich opiekunem... Hm... jeden z naszych marynarzy, Iwon, ma narzeczoną, która na niego czeka...

— Mieli się pobrać skoro powróci.

— Piotr Legol jest także bardzo młody...

— Utrzymuje ze swojej pracy matkę, staruszkę.

— A Jan?

— Jan ma żonę i dwoje dzieci.

— W takim razie, niema co się namyślać. Pozwól mi uścisnąć rękę twoją, poruczniku...

Młodzieniec pobladł.

— Nie, mój dzielny starcze; niepodobna żebyś ty zginął.

— Poruczniku... tak być musi.

— Rozkazuję ci zostać. Jestem oficerem marynarki królewskiej, obowiązany jesteś słuchać mnie... Skręć na prawo...

Sternik posłuchał, lecz po chwili rzekł stanowczo:

— Pozwól mi mówić poruczniku... Jesteś młody, masz świetną przyszłość przed sobą. Jam stary, nie mam nikogo na świecie, wszyscy ukochani moi pomarli. Czas nagli; za dziesięć minut będzie zapóźno. Trzydzieści lat pracowałem uczciwie dla kraju, mam więc prawo odpocząć. Pozwól mi ocalić was wszystkich. Ja tam w głębinach znajdę tylu starych towarzyszy...

Wstał i oddał ster w ręce porucznikowi.

Fale już dosięgały burty.

— Baczność! — upomniał — jedno poruszenie a łódź się wywróci.

Porucznikowi ręce drżały.

Starzec przeżegnał się i skoczył w morze, które zamknęło się nad nim jak wieko trumny. Wątła łódź, uwolniona od ciężaru, chyżo pomknęła ku brzegowi.

Kiedy przybiła do lądu, wysiedli z niej wszyscy: brakowało tylko — dwustu funtów.

O długości życia ludzkiego.

Dotąd jeszcze powszechnie nie stwierdzono, jaki jest przeciętny wiek narodów poszczególnych. Tyle jednak zdo-

łano stwierdzić, że ludy starożytne żyły dłużej od nowoczesnych. Toć biblia powiada w jednem miejscu, że czas lat ludzkich wynosi 70 lat a najwyżej 80 lat. Dziś tej średnicy przyjąć absolutnie nie możemy. Rzadko dziś człowiek dożyje 70 i 80 lat, a gdy którakolwiek osoba dożyje setnego roku, to jest to taką rzadkością, że się o tem gazety rozpisują. Ogólnie możnaby przyjąć, że powodem krótszego życia ludzkiego naszych czasów są warunki zewnętrzne, w jakich żyjemy. Rozwój środków komunikacyjnych, ograniczenie świeżego zdrowego powietrza przez wznoszenie olbrzymich budynków, wycinanie lasów, budowanie fabryk itd. sprawia, że żywotność człowieka nie jest tak silną, jak dawniej. Braku tych warunków zewnętrznych nie zastąpi zupełnie rozprzestrzenienie hygieny, to jest możliwe zastósowywanie wszystkiego, co zdrowotność otoczenia może podnieść.

Mimo to rasa nasza europejska, tak nazwana kaukazka żyje w przecięciu dłużej od ras azyatyckich, afrykańskich i australskich, czyli ras mongolskiej i malajskiej. Im dalej zbliżać się ku równikowi i biegunowi północnemu, tem większą spostrzeże się śmiertelność. Murzyni i inne narody, żyjące w skwarach, rzadko bywają starcami. Klimat jest niezdrowy i ujemnie wpływa na zdrowie ludzkie. U nas w Europie przypada w ogólności 1 wypadek śmierci na 38 osób, na wyspie Kubie 1 na 33, na Jawie 1 na 26, w Indyach 1 na 20. A jak u nas w poszczególnych krajach z śmiertelnością wygląda. W Niemczech, gdzie gorąca i zimna, temperatura sucha i wilgotna tak często się zmieniają, daleko rzadziej osięgają ludzie późny wiek, aniżeli w Szkocyi, Danii, Szwecyi i innych krajach, umiarkowanie chłodnych i suchych.

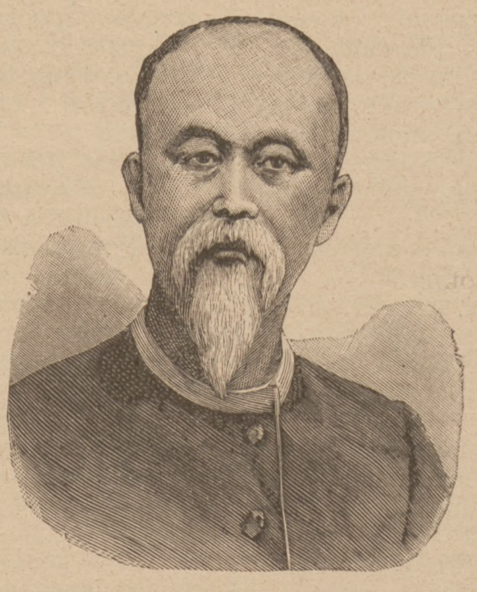
Śmiertelność wzmaga się przy zmianie klimatu. Europejczyk nie może naprzykład znieść klimatu afrykańskiego i prędzej umiera, jak krajowiec. Długo też potrwa jeszcze, zanim obce ludy

---

Li-Hung-Czang, wicekról chiński,

naczelnik wojsk chińskich.

Li-Hung-Czang, to w ostatnich kilku tygodniach najwięcej wymieniana osobistość chińska w Europie. Nie zdarzyło się bowiem dotąd, ażeby urzędowa osobistość z Chin objeżdżała w imieniu »syna nieba«, — jak siebie nazywa cesarz chiński — po dworach państw europejskich. Pierwszy to tego wypadek, zapowiadający zbliżającą się dla Chin nową erę, erę zbliżenia się do zachodu i powolnego zaprowadzania reform w kierunku społecznym. Chiny, które z taką skrupulatnością, z takim uporem, z taką narodową zapamiętałością odgraniczały się od innych państw, pouczone klęskami, jakie w ostatniej wojnie poniosły z Japonią, pragną otworzyć granice dla wpływów obcych, które mają im przynieść cywilizacyą europejską, ale równocześnie armaty i karabiny. Li-Hung-Czang, starzec 73-letni, naczelnik wojsk chińskich, najwyższy urzędnik cesarstwa chińskiego, nie bez celu bowiem objeżdża obecnie Niemcy, zwiedzając z szczególnem upodobaniem zakłady armat Kruppa i inne. Gazety przebąkują bezustanie o pożyczce, jaką Chiny pragną zaciągnąć celem większego zamówienia broni niemieckiej. Podejmują go też wszędzie z wspaniałością i pochlebiają mu jak bożkowi jakiemu. Sławny Krupp w Essen kazał nawet posąg Li-Hung-Czanga u siebie postawić. Być może jednak, że mimo wszystkiego rozczarują się trochę Niemcy, bo Chińczycy to naród przebiegły, który własne korzyści przekłada ponad honory wszelkie. Gdyby jednak udało się za pośrednictwem Li-Hung-Czanga otworzyć granice Chin dla dowozu towarów europejskich, ciągnęłyby państwa europejskie niezmierne korzyści. Do tego też pewnie powoli przyjdzie.



LI-HUNG-CZANG.

zdołają się zaaklimatyzować w krajach gorących. Nie uda się to nawet w pierwszem pokoleniu jeszcze. W Algierze, posiadłości francuzkiej w Afryce, dużo cierpią jeszcze dzieci francuzkie, tamże zrodzone, od klimatu. Co prawda i tu są wyjątki. Jednemu ludowi skwary szkodzą więcej, drugiemu mniej, nierówna u nich natura. Najwytrwalszymi wszędzie okazują się nasi żydzi. Dziwna to rzecz. Faktem jednak jest, że u nas stósunkowo najwięcej żydów osięga wiek późny. Licha pociecha dla chrześciańskich Europejczyków, skoro o nich twierdzą, że nie są tak wytrwałymi na zmiany klimatu, jak żydzi.

Jak mało Europejczyk wytrzymuje gorączki, pokazało się na żołnierzach, wysyłanych do kolonii afrykańskich. Dawniej państwa pozostawiały swych żołnierzy w tych okolicach przez długie lata, dla tego też śmiertelność pomiędzy nimi była olbrzymią. Z tysiąca umierało 48 a reszta chorowała, tak że rzadko przybył żołnierz zdrowo z powrotem do Europy. Wtedy dopiero, gdy państwa uregulowały czas pobytu żołnierzy swych w tych okolicach, gdy zaprowadziły w przecięciu 3-letni pobyt, poprawiła się zdrowotność o połowę. Nie 48 ale 24 umierało na tysiąc. Zawsze to jeszcze ogromna liczba.

Podpadającą jest rzeczą, że płeć żeńska dłużej żyje w przecięciu od mężkiej. Możnaby przypuścić, że praca mężczyznę więcej osłabia, jak kobietę w domu, ale tego nie stwierdzono. Stwierdzono zaś za to, ze z 1000 chłopców po pięciu latach żyło jeszcze 403, z 1000 dziewcząt po tym samym czasie żyło jeszcze 444. Z chłopców dożyło osiemdziesiąty rok 53, z dziewcząt 60. W Szwecyi liczono w ciągu dziewięciu lat osób, które przeżyły 90-ty rok życia 3036 mężczyzn i 3540 kobiet. Setny rok za to rzadziej spotyka się u kobiet, jak u mężczyzn. Na 75 osób, które w nowszych czasach żyły przeszło 110 lat, było tylko 17 kobiet. Wszyscy byli w związkach małżeńskich. Z tego można wywnioskować, że z osób samotnych rzadko która dożyje roku setnego.

Dostatek odgrywa także niemałą rolę. Komu się dobrze wiedzie, ten może zastósować co do swej osoby wszystko, co może się przyczynić do przedłużenia życia i do utrzymania zdrowia.

Częste wyjeżdżanie do wód niemało wpływa na polepszenie zdrowia, czego biedak pozwolić sobie nie może. Stowarzyszenia zabezpieczeń życia stwierdziły, że u bogatszych wysokość śmiertelności jest mniejszą, jak u biedniejszych. Za to bogatsi nie doczekają się nigdy tak późnego wieku, co niejeden z biedniejszych, który skromnie żyje. Dotąd nie było wypadku, ażeby którykolwiek król lub cesarz dożył setnego roku życia. Papieże doczekują się późnych lat, ale jeden z nich tylko żył prawie sto lat.

Bogatszy może zwalczać lepiej i pewniej chorobę, bo ma na to, u uboższego jest choroba artykułem zbytkowym. Chętnie by się jej pozbył, ale niema potrzebnego grosza, ażeby mógł łożyć. Stósunki pod tym względem poprawiają się, istnieją rozmaite kasy chorych, które biedniejszym oddają bardzo dobre usługi, nigdy pewnie nie dojdzie jednak do tego, ażeby usunąć wszelkie zawady, które biedniejszemu stoją na przeszkodzie dla przyswojenia sobie wszelkich środków, które służą do wzmacniania zdrowia. Najważniejszym czynnikiem zaś do zachowania zdrowia są zdrowe pomieszkania. Skrofuły, suchoty, romatyzm powstają głównie z powodu wilgoci i braku dostępu powietrza do mieszkań. I najsilniejsze natury ulegają w końcu chorobie, będąc zmuszone wieść życie w niezdrowem pomieszkaniu.

Największa śmiertelność grasuje oczywiście pomiędzy dziećmi. W Saksonii na 87 tysięcy zmarłych w roku 1894 było 38 tysięcy dzieci, nie liczących jeszcze roku życia, a dalszych 10 tysięcy dzieci zmarło przed szóstym rokiem życia. Najmniej umierają dzieci pomiędzy szóstym a czternastym rokiem życia, za to wzmaga się u nich śmiertelność po piętnastym roku. Ale i pomiędzy dziećmi jest sprawa ta sama, co pomiędzy starszymi. Rodzaj pożywienia wpływa bardzo na zdrowie dzieci. Nie byłoby może połowy dotychczasowej śmiertelności pomiędzy niemowlętami, gdyby rodzice należycie dzieci swe odżywiali. Co starszemu wcale nie szkodzi lub sprowadza jedynie małe niedomaganie, to jest dla dziecka zabójczem. Najliczniej umierają dzieci w Lipcu, Sierpniu, najmniej zimą. Zupełnie odwrotnie dzieje się u starszych. Suchotnicy, chorzy na płuca umierają najwięcej w Wrześniu, Lutym i Marcu a więc podczas przesilenia w przyrodzie.

Największym nieprzyjacielem ludzkości są i pozostaną suchoty. One to są powodem, że częstokroć całe pokolenia nie żyją długo; środkami na tłumienie rozrostu suchot są zdrowe pomieszkania i świeże powietrze wszędzie i na każdem miejscu. Przytem i tu nie

możemy się wstrzymać od uwagi, że trzeźwość i prowadzenie regularnego życia może się najwięcej przyczynić do zachowania tego najcenniejszego klejnota u człowieka, jakim jest zdrowie. W Nowym Jorku dwie trzecie ludności umiera wskutek nadużywania upajających trunków. Obliczono, że każdy człowiek, który pije, skraca sobie życie od sześciu do 29 lat.

Jak powiedzieliśmy wyżej, jasnego obrazu o średnicy śmiertelności ludzi w krajach europejskich powziąść nie możemy, już choćby tylko ze względu na dzieci, których więcej jak trzecia część umiera w latach niemowlęcych. Przyjęto, że we Francyi przy końcu zeszłego stulecia żył człowiek w przecięciu 29 lat, pomiędzy 1817 a 31 rokiem 39 lat, a pomiędzy 40 a 59 rokiem 40 lat. W Prusach było gorzej. Od roku 1830 do 1860 zmniejszała się średnica wieku z 38, 37 do 36_{91} lat. W nowszych czasach zmieniło się wszystko na lepsze. Liczne choroby zaraźliwe, jak cholera, ospa i t. d. nie zabierały już tyle ofiar co dawniej. Czy tak jednak pozostanie, przyszłość pokaże.

Praktyczne rady.

— **Odnawianie politury na meblach**. Jeśli chcemy meble stare odnowić, ale żeby nie zmienić pierwotnego koloru drzewa, trzeba przygotować płyn: 2 części białego lub żółtego wosku roztapia się w naczyniu czystem, na wolnym ogniu, dodaje się 4 części terpentyny i miesza aż do ochłodzenia. Mięszanina przywraca drzewu barwę, która znikła wskutek czasu, i nadaje mu piękny połysk.

— **Osuszanie murów**. Warstwa cementu, farby olejne, nie zawsze chronią od wilgoci. Skutek otrzymuje się, pociągając ścianę na gorąco warstwą smoły drzewnej, do której dodać należy trochę oleju terpentynowego. Dobrze jest przemalować drugi raz ścianę, dodając do farby nieco wosku; farba nabierze koloru jasnego drzewa i będzie na wilgoć oporną.

Rozmaitości.

* **W Europie** krajem najczęściej nawiedzanym przez burze są Włochy; przecięciowo zdarza się tam 38 nawałnic rocznie. W Austryi bywa ich znacznie mniej: 23 rocznie; w Niemczech, stósownie do położenia geograficznego, od 18 do 22; we Francyi i w południowej Rosyi 16; w Anglii i w Szwajcaryi 7; w Norwegii 4. Im dalej posuwamy się na północ, tem rzadszemi stają się burze; w okolicach podbiegunowych, w Islandyi, Nowej Ziemi i na oceanie Lodowatym nigdy nie słyszy się grzmotu. Nawałnice najczęściej się powtarzają w krajach podzwrotnikowych: w Etyopii bywa ich 250 rocznie, na Jawie i Sumatrze 86 do 97, w Indostanie, Borneo, na Złotem wybrzeżu i w Rio-de-Janeiro od 51 do 56. Wyjątek stanowi północny Egipt, gdzie zaledwie trzy razy do roku słyszy się grzmoty.

* **W kalendarzu Juliańskim** luty miał 29 dni w latach zwyczajnych, a w przestępnych 30; miesiące parzyste i nieparzyste następowały po sobie w ścisłym porządku: styczeń miał 31 dni, luty 29 lub 30, marzec 31, kwiecień 30, maj 31, czerwiec 30, lipiec 31, sierpień 30, wrzesień 31, październik 30, listopad 31, grudzień 30. Siódmemu miesiącowi wr. Cezar dał swoje imię: J u l i u s. Następca jego, August, nazwał miesiąc ósmy od swego imienia, A u g u s t u s ale nie chciał, żeby jego miesiąc miał mniej dni od poprzedniego. Musiano więc ująć jeden dzień lutemu i dodać go sierpniowi, a ponieważ nie mogło być trzech miesięcy z rzędu po 31, zmieniono liczbę dni w miesiącu wrześniu, który odtąd miał ich tylko 30, kiedy październik liczył 31. Tak samo odjęto jeden dzień listopadowi na korzyść grudnia.

* **Ze wszystkich krajów europejskich**, Anglia posiada najwięcej miast z ludnością większą niż 100,000. Takich miast jest w Anglii 30. Drugie z kolei miejsce zajmują Niemcy, mające 24 wielkich miast. We Francyi i w Rosyi jest ich 12, we Włoszech 10, w Austro-Węgrach 6, w Hiszpanii 5, w Belgii, Skandynawii i na półwyspie Bałkańskim po 4, w Niderlandach 3, w Portugalii 2. Ogółem Europa ma 116 wielkich miast. Azya posiada ich 105, z tego 53 przypada na Chiny, 30 zaś na Indye angielskie. W Afryce znajduje się 7 wielkich miast, w Australii 2, w Stanach Zjednoczonych 26, w południowej Ameryce 14. Ogółem w tych 240 wielkich miastach znajduje się ludności 80 milionów.

ŻARTY.

To jeszcze nic.

Siedzi sobie dwóch podróżnych przy stole i uprzyjemnia czas opowiadaniem dowcipów.

— Moja firma — powiada jeden — potrzebuje rocznie wyłącznie do pisywania listów za 1000 marek atramentu.

— To nic — odpowiada drugi. — Moja firma oszczędza tyle jedynie przez to, że pracownikom zabroniono nad głoskami „i“ czynić kropki.

Spróbować nie zawadzi.

M a j s t e r: Słuchaj smyku, mnie się zdaje, że ty przynajmniej połowę piwa wypijasz z dzbanka, zanim z lokalu przyniesiesz je do domu, i następnie dolewasz wody.

U c z e ń: Nie, panie majstrze, to się u mnie nie zdarzy. Jeszcze są na świecie uczciwi ludzie. (Zaś do siebie): Spróbowaćby nie zawadziło.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.